TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 16. *Chicago, Ills., 14 Października, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Ucieszony z dobrego przyjęcia i z wygód, których mu z domu podkomorstwa nie szczędzono, wracał Kulik nazajutrz z tą odpowiedzią do swego pana, i z wypogodzoną twarzą, w której przekonanie o dobrem sprawieniu poselstwa wyczytać można było, stanął przed nim i wiezione pismo mu doręczył. Ruszczyc był właśnie w swojej małej zbrojowni i oglądał broń i zbroję, którąby mógł użyć w nastąpić mającej wyprawie na Bukowinę; właśnie przymierzał hełmu który się dziwnie obok kontusza na jego głowie wydawał, gdy ciekawością zdjęty, porwał list podkomorzego, przeczytał go szybko, obrócił się do Kulika i rzekł z gniewem:

— Cóżeś tam przecie naplótł, chociażem ci przykazał milczenie.

— Ja? — odparł Kulik zdziwiony — nic złego nie powiedziałem i wszystkie rozkazy Pań-

skie wypełniłem; a poglądając na hełm na głowie Ruszczyca będący, dodał:

— Ale ten hełm się na nic nie zda, bo dwa razy przestrzelony; ja dawno Panu już mówiłem, że go trzeba dać do naprawy.

— Co ci do tego hełmu? — rzekł Ruszczyc, zdejmując go z głowy i rzucając na stół tak silnie, że z niego aż spadł na ziemię. — Ale powiedz niezdaro, pocóżeś się wygadał z tem, że ja w domu jestem?

— Broń Boże! — odpowiedział Kulik, podnosząc hełm z ziemi i prostując pióro, które się było złamało. — Oto się nowy guz na nim zrobił i pióro to na nic się nie zda; a ja nic nie mówiłem tylko tak jak mi Pan kazał.

A czym ci nie mówił — rzekł dalej Ruszczyc z gniewem — żebyś powiedział *nie*, kiedy ci się spytają, czy ja jestem w domu?

— A bodajbym się z tego miejsca nie ruszył — odparł Kulik — jeżelim inaczej powiedział; ja zawsze mówiłem *nie*. Co ja temu winien, że mi się raz spytali, czy Pan nie wyjechał z domu?

— Idź precz — zawołał Ruszczyc, a wstrzymując się od dalszego łajania przez wzgląd na starego sługę, odszedł, zostawując go samego zagniewanego o złe przyjęcie przez Pana, do tego stopnia, iż sam będąc długo mruczał i wymyślał, lecz wieszał przy tem na swojem miejscu i hełmy i zbroje, i ocierał te na których kurz spostrzegał.

Ruszczyc zaś dla tego się gniewał i dla tego chciał uniknąć widzenia się z podkomorstwem, iż się obawiał wyjawić przed nimi prawdziwej przyczyny swego postępku, lub wygadać się z całą tajemnicą przy zwykłej otwartości serca swego, i że prócz tego trudną było rzeczą wymyślać słuszne przyczyny, któremiby swój sposób postępowania mógł usprawiedliwić. Nie mogąc wszelakoż uniknąć tego wszystkiego, postanowił uzbroić się przeciwko wszelkim ponętom gadatliwości i wyjechał do domu podkomorstwa.

Po przyjacielskiem powitaniu i po wymawianiu się zatrudnieniem domowem przed wyjazdem na wojnę, które go od rychlejszego nawiedzenia wstrzymywało, musiał Ruszczyc odpowiadać na rozliczne zapytania względem Maryi, przy czem podkomorzyna rzekła do niego:

— W jakiej my to niespokojności byliśmy, codziennie wyglądaliśmy doniesienia Pana, któreby nas wcześnie uwiadomiło o dniu zawarcia waszych ślubów małżeńskich, ażebyśmy na ten dzień, dla nas tak pożądany, do stolicy zjechać mogli; gdyśmy odebrali od najukochańszej Marynki wcale przeciwne uwiadomienie o postanowieniu Waszmości Pana.

— Spodziewam się — odparł Ruszczyc — że Jejmość Panna Podskarbianka raczyła wyłuszczyć powody, które mnie do tego tak przykrego dla mnie postanowienia skłoniły.

— Uskuteczniła to — rzekł podkomorzy — i umiemy cenić ważność tych powodów; ale.....

— Tak — przerwała podkomorzyna — ale jeżeli mam otwarcie powiedzieć co myślę, troskliwość nasza skłania nas do tego, ażebyśmy Waszmość Pana upraszali o otwarte zwierzenie nam czyli go prócz tego inne jeszcze jakie powody do tego kroku nie skłoniły?

— Inne jakie powody? broń Boże! — odparł Ruszczyc, lecz zaczerwienił się przy tem mocno i nie mógł nic więcej powiedzieć. Tak dalece nawyknienie otwartości niezdatnym go do wszelkiego kłamstwa i utajenia myśli swoich czyniło. Podkomorstwo spojrzeli po sobie z wyrazem niedowierzania, a podkomorzy na co innego zwrócił rozmowę, odkładając do sposobniejszej pory wybadanie Ruszczyca; zostawał bowiem w obawie, czy się Ruszczyc nie dowiedział o skłonnościach Maryi, i czy ta wiadomość do odwleczenia związków małżeńskich go nie nakłoniła. Lecz gdy później w dalszych z nim rozmowach przekonał się, iż Ruszczyc z uwielbieniem zawsze o Maryi wspomina, że zawsze największe szczęście swoje w późniejszem zawarciu związków upatruje; zmienił sam zdanie swoje o tajemnych jakichciś powodach działania Ruszczyca, i przekonał żonę swoję, że nie masz żadnej obawy i że rzeczy jak najlepiej stoją.

I nasz bohater z swojej strony wkrótce powrócił do dawnej otwartości i zażyłości z podkomorstwem, i przez kilka dni bawiąc u nich wszystko im opowiadał co tylko wiedział o Maryi, wyjąwszy jednego wiadomego nam względu, który nie bez zająknienia i pomieszania w powieściach swoich pomijał.

W wigilią dnia na odjazd Ruszczyca przeznaczonego, chciał podkomorzy rozweselić się z przyjacielem swoim i zasiadłszy z nim, w poobiedniej godzinie, pod cieniem dębu za dworem w ogrodzie stojącego, mrugnął z uśmiechem na żonę, szepnął jej coś do ucha i za oddalającą się w głos powtórzył:

— Pamiętaj kochanko, sześćset trzydziestego piątego.

Niezadługo przybył piwniczny niosąc w ręku ostróżnie, aby szanownej pleśni nie obetrzeć, butelkę z kartką na której rok 1635 był wypisany. Gdy ją na stół stawiano, spojrzał podkomorzy na Ruszczyca, jakby chciał śledzić, jakie ten widok na nim wrażenie sprawi i milczał bo był pewnym, że miłe w nim zadziwienie wzbudzi.

— Trigesimo quinto! — rzekł Ruszczyc, nachylając nieco głowy i obracając butelkę ku sobie stroną, na której najmocniej zaświadczająca pleśń osiadła.

— Tu będzie myszka — rzekł podkomorzy, kazał sobie podać korkociąg i otworzywszy sam starannie butelkę, nalał zwolna w przyniesioną lampkę trochę wina, okazał jego tłustość pod słońce Ruszczycowi, i dawszy mu je wprzódy w milczeniu powąchać, nalał obie lampki po brzegi i rzekł:

— Takie się tylko z dobrym przyjacielem pija. Na powodzenie Waszmości mnie wielce miłościwego brata!

— Oby nam się dobrze działo — odparł Ruszczyc, podnosząc do góry lampki, i trąciwszy ją o kielich podkomorzego, zwolna i z pewnym zamysłem wino pić zaczął.

— A co? wszak merum et approbationas dignum — rzekł podkomorzy po spełnieniu połowy kielicha.

Z uśmiechem kiwnął głową w odpowiedzi Ruszczyca, i rozpoczął znawczne badanie nad pochodzeniem, wiekiem, i sposobem przechowania tego tak szacownego trunku. Gdy się dyssertacya przy wypróżnieniu drugiej lampki w najlepsze toczyła, i rumieniec rozweselenia zwolna na licach obudwóch przyjaciół osiadał, przybiegła ku nim z radością podkomorzyna i oznajmiła, iż dworzanin z Warszawy wracający przywiózł jej list od Maryi.

— A daj go kochanku, daj, przeczytamy go razem — rzekł podkomorzy, wyciągając po niego rękę. Lecz podkomorzyna spojrzała na niego z wyrazem napomnienia, odsuwała rękę z listem i na migi usiłowała przypomnieć podkomorzemu, iż w obecności Ruszczyca listu tego czytać nie wypadało.

Lecz nie była to właśnie dla niego chwila domyślności, utopił był przezorność w dobrem winie, a na jej miejscu nastała owa otwartość i to wylanie uczuć dla przyjaciela, które jest skutkiem pierwszego rozweselenia dobrym napojem.

— Czegóż się wzbraniasz kochanku? — rzekł do podkomorzyny, biorąc jej z ręki list — wszakże nas wszystkich los kochanej Marynki równo obchodzi; i JP. Brygadyer rad będzie posłyszeć co on w sobie zawiera.

— A Mościa Dobrodziejko! — dodał Ruszczyc — tuszę sobie nadzieję, że Waszmość Pani nie zechcesz mię pozbawić pociechy powzięcia raz jeszcze wiadomości o Jejmość Pannie podskarbiance, teraz właśnie, gdy wybierając się na krwawą wyprawę, kto wie czy już nie po raz ostatni o niej słyszeć będę.

Nie zdołała się oprzeć podkomorzyna tym naleganiom męża i Ruszczyca; lecz spostrzegłszy, że pierwszy mało dba o skutki jakie z odczytania listu wyniknąć mogą, usiadła blisko przy nim, ażeby w każdem niebezpieczeństwie wyjawienia mniemanej tajemnicy, dość wcześnie czytanie listu przerwać lub inszy dać obrot rzeczom, które mógł w sobie zawierać. Podkomorzy zaś odchrząchnąwszy sobie, przetarłszy starannie okulary i poprawiwszy się na ławce, zaczął czytać co następuje:

— Najukochańsza Ciotko! jedyna w życiu mojem opiekunko i pocieszycielko!

— Jakżebym pragnęła być przy tobie, ażeby ci wynurzyć uczucia, które serce moje zajmują i zasięgnąć rady twojej w trudnem położeniu, w jakiem się dzisiaj znajduję.

— Nieboraczka! — przerwała podkomorzyna — opuszczona teraz, od nas daleka i pozbawiona zarazem pociechy oglądania JP. Brygadyera, w ciężkim znać smutku jest pogrążona po jego odjeździe.

Na te słowa skłonił się Ruszczyc z powagą i milczał, a podkomorzy czytał jak dalej:

— Z ufnością jak córka do matki uciekam się pod twoję opiekę. Z otwartością przyjaciółki uczynię ci wyznanie wszystkiego, co się tutaj od czasu ostatniego mego listu działo. Nie pobłażaj słabości mojej, bądź surowym sędzią moich postępków, wesprzyj mię dobrą radą lub przywołaj napowrot do waszego cichego ustronia, ażebym się tutaj dłużej próżną otuchą tego wysokiego szczęścia nie łudziła; ażeby codzienne widzenie księcia....

— I, co ty zaś czytasz kochanku: — przerwała podkomorzyna wyrywając list mężowi, i dodała natychmiast z uśmiechem:

— Bardzo cię znać dobre winko rozweseliło, kiedyś potrafił tyle podejrzliwych wyrażeń umieścić, ażeby prześladować naszego zacnego przyjaciela, i aby żartami w nim zazdrość wzbudzić!

— A tak — dodał podkomorzy przypominając sobie przecie o co rzecz idzie — w samej istocie chciałem sobie krotochwilę sprawić.

— Nie dam ja ci więcej czytać listu — rzekła podkomorzyna — zostawię was tutaj przy waszej zabawie i pójdę go sobie odczytać na osobności, a potem wam doniosę co w sobie zawiera.

To mówiąc chciała się oddalić; lecz Ruszczyc powstawszy z miejsca, zatrzymał ją uprzejmie za rękę i rzekł z łagodnym uśmiechem:

— Racz Waszmość Pani zostać z nami i dozwolić na dalsze czytanie listu; on mnie niczego nowego nie nauczy, a tak mnie mocno zajmuje, iż jak o szczególną łaskę, upraszać muszę o udzielenie mi jego osnowy.

W największem pomieszaniu spojrzała podkomorzyna na męża, który spuścił oczy na stół i zdawał się spoglądać na szklankę którą w ręku trzymał. Potem obróciła wzrok nieśmiały na Ruszczyca, chcąc wyczytać z twarzy co się w jego sercu działo, i niemało się zdziwiła, że ją wypogodzoną i jednostajnie łagodnym uśmiechem ozdobioną widziała. Nakoniec obróciwszy się raz jeszcze ku podkomorzemu, jakby się od niego przerwania milczenia spodziewała; i nie widząc pomocy z tej strony, chciała już rozpocząć przerwaną rozmowę, gdy Ruszczyc w ten sposób przemówił:

— Wszyscyśmy się widzę nawzajem oszukiwali, a wszyscyśmy równie niezdolni do ukrywania tajemnych myśli naszych. Jam zdołał odgadnąć tajemnicę, którą zacna Marya z dziecinną ufnością Waszej przyjaźni powierzyła; lecz nie lękajcie się ani niechęci, ani zmienności z mej strony. Nim przystąpimy do czytania listu tego, posłuchajcie mego wyznania. O jaki mi też ciężar z serca spadnie, kiedy będę mógł z otwartością o równie przez nas wszystkich ukochanym przedmiocie rozmawiać! —

Tu opowiedział Ruszczyc ze wszystkiemi szczegółami to, czego był świadkiem u dworu, i objawił prawdziwe powody swoje do odłożenia na czas dalszy spełnienia zamierzonego związku. Z rozrzewnieniem słuchała jego powieści podkomorzyna, ścisnęła mu czule rękę na znak wdzięczności, a podkomorzy wynurzał najczulsze uczucia dla Maryi, wysokie poważanie dla Ruszczyca. Po ukojeniu tych żywych wrażeń przystąpiono z równym ze wszech stron udziałem do dalszego odczytania listu.

— Wiadomo ci zapewne najukochańsza Ciotko, iż od dawnego czasu życzeniem było królowej połączyć syna swojego z córką Cesarza Leopolda. Książe Jakób z niechęcią ulegał tej woli macierzyńskiej i nieraz słyszałam, nie bez wewnętrznej pociechy, jak utyskiwał przed księżną wojewodziną wileńską na konieczność zawarcia takich związków, za któremi serce nie przemawiało. Lecz rodzice jego, życząc sobie jak najusilniej tych związków, zwłaszcza że upatrywał w nich mocniejsze powody dla Cesarza Jegomości w popieraniu później elekcyi młodego księcia na króla polskiego, wyprawili w końcu ostatniego sejmu tajemne poselstwo do Wiednia, w celu utrzymania stanowczej odpowiedzi w tym ważnym przedmiocie.

— Wszystko było w oczekiwaniu na powrot tego posłannika, i ja niestety! nie mogłam oddalić od siebie tęsknego uczucia, którem mnie to oczekiwanie przejmowało. Przybył nakoniec; o jakże wiele cierpiałam na tem, żem do razu skutku jego poselstwa wiedzieć nie mogła; jak mnie to powątpiewanie dręczyło; i dziś jeszcze odzywa się we mnie głos sumienia na samo wspomnienie wewnętrznej walki uczucia mego.

— Niedługo pozostały tajemnicą nowiny z Wiednia przywiezione; niechęć królowej, smutek króla, tajemna radość królewicza i odwołanie zabawy dworskiej, której dzień już był naznaczony, wyjawiły wszystkim niepomyślny skutek czynionych zabiegów. Królowa przez dni kilka przykrą nawet była dla otaczających ją osób, i mnie się dały uczuć skutki jej niechęci; lecz wyznaję, że mi żadnej nie sprawiły przykrości, bo je wątła jakaś nadzieja osładzała. Ach! jeżeli ta nadzieja jest zwodniczą, jeżeli się nigdy nie ma spełnić, jakże okrutnym jest dla mnie zbieg tych okoliczności który ją żywi w mojem sercu, który mnie wiarołomną i niebaczną na wolę ojcowską czyni!

— Kilka dni temu, było w Wilanowie wieczorem zgromadzenie panów i dam w bliższych stosunkach z królestwem Jchmość będących. Rozmawiano już głośno o odpowiedzi cesarza Leopolda; królowa najprzykrzejsze czyniła mu wyrzuty o niewdzięczność dla zbawcy swojego;

jedni potakiwali jej zdaniu, inni starali się ukoić żal królewski i pocieszać go tem, iż łatwo mu będzie równie korzystne związki gdzieindziej dla syna znaleźć. Ach! jak trudne było położenie moje wówczas; musiałam starać się o to najusilniej, aby wyraz największej obojętności ukrył to, co się w sercu mojem działo. Słyszałam jak różne czyniono wnioski i wnoszono zdania o małżonce, którąby księciu Jakóbowi przeznaczyć wypadało. Serce biło mocno, rumieniec osiadł na twarzy; lękam się spoglądać na osoby, które mnie otaczały, jak gdybym się bała tego, ażeby się ktoś nie domyślił, iż między obecnemi jest taka, która śmie poczytać się godną serca i ręki królewicza. Nie mogąc dłużej znieść dręczącego mnie położenia, oddaliłam się z pokoju, gdzie się powszechna rozmowa toczyła i wyszłam w zamiarze oddychania świeżem powietrzem w ogrodzie. Przechodzić musiałam przez pokój stykający się z pięknym gabinetem, z którego okna na ogród wychodzą. Nikogo nie było w tym pokoju, lecz słyszałam mówiących w gabinecie, i nieszczęśliwa może dla mnie ciekawością zdjęta, poważałam się zbliżyć niepostrzeżona ku drzwiom, a poznawszy głos księżnej wojewodziny wileńskiej i księcia Jakóba, chciałam się cofnąć; w tem obiły się o moje uszy następujące wyrazy, które nowego udręczenia mego są przyczyną:

— Spodziewam się, że przeciwko tej nic mieć nie będziesz; nie jest ona bez powierzchownych wdzięków, potrafi wzbudzić i dzielić żywe uczucie, a nadewszystko jest Polką.

Te słów kilka drżenie we mnie wzbudziły; w obawie aby mnie nie postrzeżono, oddaliłam się szybko ode drzwi, wybiegłam do ogrodu, szukałam spokojnego miejsca gdziebym gwałtowność uczucia mego ukoić mogła. Niestety, nic jej dotąd uchamować nie zdołało.

„Ach, najukochańsza Ciotko! wróć mi utraconą spokojność, odejm mi wszelką nadzieję i powiedz, co te wyrazy mogły znaczyć...."

— Co mogły znaczyć! — rzekł wzruszony Ruszczyc — powiedz jej Waszmość Pani, że Ruszczyc powiedział, iż to ma znaczyć: że Marya Modrzejowska żoną księcia i królową naszą będzie.

Dalszy ciąg nastąpi.)

HISZPANKA

— CZYLI —

ŻONA SKAZANEGO NA ŚMIERĆ.

POWIEŚĆ.

P. P. W. Hr. Rozdr.........

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Ratunek.

Było to już około dziesiątej wieczorem. Hrabina Gonzales w hotelu swoim pokoju brała szal, zabierała się do wyjścia. Stary Joachim stał przy drzwiach czekając na nię. Służąca z płaczem pochyliła się nad małem łóżeczkiem, gdzie spoczywało młodsze dziecko hrabiny. Na drugiem łóżku leżał chłopiec; oboje dzieci spało snem

błogosławionych. Uśmiechały się słodko we śnie, jak gdyby im aniołki opowiadały pełne dziwów przepowiastki. Matka patrzała na nie z głęboką boleścią. Miała się z niemi rozstać, może na bardzo długo. Nie wiedziała, czy przynajmniej za to ojca im wrócić potrafi. Gdyby jej przedsięwzięcie się nie miało udać, wtenczas biedne dzieci stawały się zupełnemi sierotami: ojca traciły na zawsze, porywało im go rusztowanie; ją samę czekało długie więzienie. Ale musiała się rozstać z dziećmi, musiała wykonać swe przedsięwzięcie, bo tu chodziło o życie męża. Pochyliła się więc nad dziećmi, pocałowała jedno i drugie po cichu, poczem rzekła:

— Pamiętaj o nich Anno! — a jeźli nie wrócę, zastąpisz im matkę.

Gorące łzy trysnęły jej z oczu. Służąca musiała się oddalić od dzieci, by ich głośnem łkaniem nie przebudzić.

Hrabina owinęła się mocniej szalem i rzekła:

— Chodźmy, Joachimie. — Stary sługa otworzył drzwi i wyszli z pokoju. Jeszcze raz brała ją ochota rzucić wzrokiem na dzieci, ale miała tyle siły nad sobą, że się nie obejrzała. Zeszła w towarzystwie strzelca pewnym krokiem, po korytarzu i po wschodach. Na pierwszem piętrze doszły jej uszu z jednego pokoju głośny brzęk kieliszków i wesołe okrzyki wiwatów. To ci panowie, którzy nie chcieli chłopów uwolnić od pańszczyzny, obchodzili tryumf zwycięztwa. Te wesołe okrzyki osuszyły łzy biednej matki, która musiała parę sierót zostawić w opuszczeniu. Przeszła dumnie obok pokoju pyszałków. Żyła już teraz tylko myślą o wysokiem swem zadaniu. Przeszła ze starym Joachimem spokojnie ulice miasta, aż stanęła u bram więzienia. Wieczór był ciemny. Chmury przesuwały się po niebie. Tylko gdzie niegdzie, błyszczała gwiazda. Księżyc już zeszedł, ale ciężka, czarna chmura całkiem go była zakryła. Na ulicach wrzało jeszcze życie. Ludzi zbierali się w kupki i rozmawiali po cichu, w tajemnicy. Przedmiotem ich rozmowy była niezawodnie jutrzejsza egzekucya, która przed wschodem słońca odbyć się miała. W blizkości więzienia stało dużo ludzi, szepczących głucho wśród cieniów nocy.

Wóz żniwny wysoko wypakowany wjeżdżał właśnie na wolny plac około więzienia. Leżały na nim belki, drągi i deski. Ciemne postacie z siekierami i szpadlami szły obok wozu. Towarzyszyli im żołnierze; za nimi ciżba ludzi pchała się ciekawie.

— Oto wiozą rusztowanie — szeptano ponuro w tłumie.

Wóz wyjechał na stary szaniec, na owo wywyższenie w końcu placu. Oczy nieszczęśliwej kobiety mimo woli poszły w ślad za nimi. Mężnie jednak postępowała naprzód, choć pod starym strzelcem gięły się kolana. Doszli wreszcie do bramy mostowej i lekko w nią zapukała.

Małe okienko się otworzyło i zapytano: „Kto tam?"

— Hrabina Gonzales.

Inny głos mówił dalej:

— Pani tu już raz byłaś.

Było to powiedziano po francuzku. Mówiący był jednym z tych francuzkich żandarmów, w których spojrzeniu widziała za przeszłego swego pobytu w więzieniu uczucie litości.

Otucha wstąpiła w serce mężnej niewiasty.

— O mój panie przy ostatniem pożegnaniu ma żona mężowi tyle do powiedzenia! — A w tych kilku minutach serce moje taką przepełnione było goryczą!

— Rzeczywiście, ale żałuję bardzo, moja Pani, bo na nieszczęście nie ma w domu inspektora, który jedyny miał prawo Panią do męża zaprowadzić.

— Panie! zlituj się nademną.

— Niech się Pani cokolwiek zatrzyma, pomówię z kolegami.

— Zobaczysz, że nas wpuści, szepnęła hrabina do strzelca. Ci Francuzi, chociaż to nasi wrogowie, są jednak szlachetnymi ludźmi.

— A ten, — rzekł strzelec — prostym swym rozumem odgadując prawdę: ten nie ma złego sumienia jak inni, co się zaprzedali nieprzyjacielowi.

Drzwiczki w bramie otworzyły się.

— Czy wiesz też wszystko, Joachimie? — zapytała szybko hrabina służącego.

— Wiem.

— Bądź więc ostrożny, na miłość Boga!

— Niech Pani będzie spokojną, oby się tylko udało!

— Bóg czuwa nad nami!

— Obyś i ty biedna, szlachetna Joanno jak najprędzej nam wróciła!

— Nie myśl o mnie.

Żandarm stał już we drzwiach otwartych.

— Jeżeli Pani teraz pozwolisz.

— Czy służącemu wolno mi towarzyszyć? — zapytała hrabina.

— Nie, Pani — odrzekł żandarm stanowczo.

— Nie chciej Pani, aby jeszcze większa ciężyła na mnie odpowiedzialność nad tę, którą już na siebie wziąłem.

Lecz czy może na mnie czekać przy bramie, aż nie powrócę?

— Może, lecz przy posterunku.

— Dziękuję panu — rzekła i przeszła przez drzwiczki. Stary Joachim poszedł za nią i drzwi się za niemi zamknęły.

Na podwórzu więziennem było ciemno i prawie pusto. Tylko trzy lampy mdławym paliły się płomieniem: jedna w loży odźwiernego, druga na odwachu, trzecia przy drzwiach głównych więzienia. Przy świetle latarni widać było żołnierza stojącego na posterunku przy broni, i żandarma, który otwierał hrabinie. Zresztą żywej duszy nie było na podwórzu. Wewnątrz loży przez oświecone okna ukazywała się jedna tylko głowa; głowę tę pokrywał kapelusz francuzkiego żandarma. Jeżeli się więcej ludzi w loży znajdowało, to musieli się chyba położyć, bo inaczej przez nizkie okna byłoby ich było można zobaczyć.

Głęboka cisza panowała na około. Jedyny odgłos, który się dawał słyszeć, pochodził od powolnie przechadzających się żołnierzy.

Z wewnątrz murów więzienia nie wychodziło żadne światełko, żaden szelest. Hrabina coś posłyszała, lecz było to bicie własnego serca. Męzka jej odwaga nie mogła już bardziej urość. Ale nadzieja jej przez ciemność, ciszę i opustoszone miejsca, znacznie się podniosła. Nadzieja ta i oczekiwanie przyspieszały uderzenia jej serca.

Żandarm prowadził ją do więzienia. Drzwi były zamknięte. Otworzył je kluczem, który miał przy sobie, i gdy weszli, znów je zamknął. Ganek i wschody były jasno oświecone lampami. Przy drzwiach stali na warcie żołnierz i dozorca. Żołnierz miał minę śpiącego rekruta; dozorca wyglądał zmęczony i zaspany.

Serce biło hrabinie coraz mocniej.

Weszli na wschody. Żandarm prowadził ją tą samą drogą, którą szła po południu. Wszędzie było jasno, i przy świetle widać było żołnierzy leniwo się poruszających, podobnie jak pierwszy. Doszli wreszcie do celi więźnia — do celi umarłych. We dnie stał żołnierz przy drzwiach, a dozorca siedział obok niego. Teraz obudwóch nie było.

Żandarm zapukał do drzwi. Klucza od nich nie miał.

Otworzono zaraz z wewnątrz, bez zobaczenia kto przychodzi. Widocznie na noc usunięto połowę środków ostrożności, używanych w dzień.

W celi umarłych dwie latarnie jasne rzucały światło na całą przestrzeń. Trzy osoby tylko się tam znajdowały: uwięziony i dwóch dozorców. Ci siedzieli obydwaj na ławce; jeden palił, drugi czytał książkę. Więzień leżał wyciągnięty na tapczanie, ale nie spał. Zaraz, gdy żona weszła, podniósł się; wszak przybycia jej oczekiwał! Ona szła ku niemu.

— Musiałam się jeszcze raz z tobą widzieć, drogi Karolu, mam ci niejedno jeszcze do powiedzenia.

Potem zwróciła się do żandarma.

— Mój panie, czy żona w ostatnich godzinach życia nie mogłaby być z mężem przez dziesięć minut sam na sam?

Żandarm namyślał się tylko chwilkę.

— Niech i tak będzie, ale tylko przez dziesięć minut.

— Chodźcie ze mną! — rozkazał dozorca.

I tutaj Francuz rozkazywał Hiszpanom. Obydwaj dozorcy opuścili wraz z nim celę i drzwi się zamknęły za nimi.

Francuz był również pełnym względów, jak grzecznym i ludzkim.

Małżonkowie zostali sami. Stanowcza chwila w ich życiu nadeszła. Mieli tylko dziesięć minut czasu; a przez te dziesięć minut jakże dużo było do zrobienia!

— Prędko, Karolu, pomieniajmy się na ubrania.

— Nie, Joanno! — chciałem ci to powiedzieć już w dzień.

— Spostrzegłam to; ale nie wolno ci było tego mówić, jak i teraz nie wolno: ze względu na mnie, ze względu na dzieci! Czy myślisz, że potrafiłabym żyć bez ciebie? Mam odwagę i siłę, ale tylko dla ciebie! Zaklinam cię, Karlosie, ani słowa więcej, zaklinam na naszę miłość, na wiecznego Boga! Ty musisz życie swe ratować. Nie myśl o mnie. Żadne prawo nie

zakazuje tego, co ja czynię. Więc naprzód w Imię Boże, naprzód!

Nie śmiał się już więcej opierać — nie mógł w obec wielkodusznej kobiety. Zaprowadziła go w kąt celi.

Męztwu jej wyrównywał rozsądek. Wszystko na tem zależało, aby nie spostrzeżono przemiany ubrania. Powrotu urzędników przed oznaczoną godziną nie potrzeba się było obawiać; chodziło tylko o to, żeby ich kto z zewnątrz nie podpatrzył. Zgasić lampy nie było podobną. Sprawiłoby to podejrzenie, którego skutkiem byłoby natychmiastowe poszukiwanie i odkrycie.

Obserwacya z zewnątrz mogła mieć tylko miejsce przez otwory w obydwóch drzwiach. Ale boczne drzwi nie miały okienka, ani żadnego otworu, jak się ostrożna kobieta o tem rychło przekonała. W drzwiach wchodowych było okienko i można je było niewątpliwie z zewnątrz otworzyć. Przed tem trzeba się było zabezpieczyć, i dla tego zaprowadziła męża w kąt za drzwi.

— Prędko, Karolu, mamy już tylko siedm minut czasu.

W tem przyjrzała mu się bliżej i przestraszyła się.

— Boże Wszechmocny! co się z tobą stało?

On uśmiechnął się boleśnie.

— Kat był tu przed godziną, i aby na jutro mieć wszystko gotowem, zrobił już dziś moją toaletę, jak to we Francyi nazywają. — Powiedziawszy to, sam się przestraszył.

— Ach, przemiana ubrania nic już nie pomoże!

Rzeczywiście okropnie był zeszpecony: włosy miał zupełnie krótko obcięte przy skórze, tylko nad czołem pozostała mała grzywka — ledwo szczątki bogatego włosa. Grzywka ta smutne miała przeznaczenie. Gdy głowa ofiary spadnie pod toporem kata, wtenczas pomocnik jego, skrwawioną tę głowę weźmie za włosy i jako dowód spełnionej egzekucyi wzniesie ją wysoko po nad głowy zgromadzonego tłumu.

Kobieta zadrżała na ten widok.

— Ach moje długie włosy! — wyjąkała — one mnie zdradzą!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CORKA CIESLI

podanie indyjskie.

(Ciąg dalszy.)

Węże wypełniły rozkaz a ożywieni mieszkańcy otoczyli króla który w zdziwieniu i przestrachu z powodu niebezpieczeństwa w jakiem się był znajdował, własnemi rękami zdjął z cieśli kajdany i odprawił do domu obsypawszy pochlebstwami i podarkami.

Od tego czasu sąsiedzi strzegli się niezmiernie mieszania w sprawy Nur-Singha; obawa ich powstrzymywała, jakkolwiek chciwi do najwyższego stopnia nie ośmielili się nigdy przywłaszczyć sobie coś z bogactw nęcących ich żądzę, bo drżeli na samą myśl zemsty owego niewidzialnego opiekuna.

Tymczasem Tuliza pędziła ze swoim mężem życie bardzo szczęśliwe. Widywała go tylko w nocy, gdyż w dzień zawsze się oddalał. Obsypywał ją cudnymi podarkami, a żądał jedynie, aby nigdy nie wychodziła z pałacu i nikogo obcego wpuścić nie pozwoliła. Na rozrywkach nie zbywało wszakże wewnątrz tego pysznego budynku; ogrody wysadzone były drzewami owocowemi nader rzadkiemi i drogocennemi; marmurowe kąpiele wykładane ozdobnie jaspisami i agentami, a w dodatku otaczało Tulizę liczne grono niewiast, z których jedne czarodziejsko umiały grać na lutniach, inne zaś opowiadały zachwycające powieści.

Przechadzając się raz po ogrodzie Tuliza spostrzegła maleńkie, zgrabne zwierzątko napadnięte i broniące się daleko większemu i dzikszemu. Kiedy przechodziła obok, biedna wiewiórka rzuciła na nią spojrzenie błagające, a wzruszona tem Tuliza podjęła leżącą na ziemi trzcinę, odpędziła napastnika i dała wiewiórce możność ucieczki. Ale zadowolona i za łagodna ażeby zabić jakiekolwiek stworzenie, ograniczyła się na tem że napastnika wygnała za mury ogrodu, by już nie mógł szkodzić jej ulubionym zwierzątkom. Dużo czasu spędzała na żywieniu i pieszczeniu różnych ptasząt, ale niekiedy, co prawda, dzień wydawał jej się bardzo długim. Bramy pałacu, jak to już powiedziano, zawsze były zawarte a służbie zakazanem było pod karą śmierci wpuścić do zamku kogokolwiek obcego, tak że Tuliza nie mogła nigdy nic kupić sama, nie mogła się dowiedzieć co też się dzieje w sąsiedztwie; przyjemność której doznawała nawet w najświętszej nędzy. Słuchać ciągle powieści o osobach, których nie znała i o które się wcale nie troszczyła, to rzecz na koniec męcząca. Nawet jej kosztowne stroje znudziły ją nareszcie i byłaby chętnie oddała wszystkie swoje klejnoty za wianek z jaśminu, jaki kiedyś zbierała w głębi lasów i zręcznie uplatała. Słowem, nie doznając niedostatku i cierpień, w jakich przed tem żyła, zapomniała o tem jak trudno je przenieść i przewidziało jej się że wszystkie wykwintne i zbytkowne rzeczy dostarczane jej przez męża nie zastępują braku swobodnego obcowania z innemi podobnemi jej kobietami.

Pewnego poranku zatrzymała się przed bramą pałacu stara kobieta sprzedająca „kauri". Odźwierny, ma się rozumieć jej nie wpuścił, ale gdy podeszła pod jedną z baszt ujrzała Tulizę, wyglądającą właśnie przez małe okienko. Starucha przemówiła do niej, zręcznie zaczęła pochlebiać i przyrzekła cuda, byle tylko mogła dostać się do pani pałacu. W tak znacznej odległości atoli trudno było rozmawiać i oczarowana pani zamku zgodziła się na koniec na spuszczenie z wieży prześcieradła, po którem nieznajoma z największą łatwością dostała się na wieżę. Trzeba było rzeczywiście niezmiernej prostoty ze strony Tulizy żeby nie domyśleć się, że tylko duch w ten sposób mógł wejść na wieżę. Przypuszczalna przekupka usiadła na skraju dywana i zaczęła opowiadać pani pałacu różne rzeczy, a tak płynnie, tak powabnie, że czas jej spływał rozkosznie. Umiała ona objaśnić ją o wielu szczegółach, których Tuliza dowiedzieć się pragnęła i wreszcie zadała jej różne pytania. Nakoniec rzekła:

— Mówisz mi moja córko, że twój mąż dobrze się z tobą obchodzi; czy jada z tobą razem, czy kosztuje kiedy potrawy z talerza, którego ty używasz?

— Nie, — odpowiedziała Tuliza, — tego zaszczytu nigdy mi nie zrobił.

— W takim razie, rzekła nieznajoma, powinnaś wymagać aby dochowywał wszelkich zwyczajów życia małżeńskiego, gdyż inaczej będzie cię z pewnością uważał za godną pogardy; a jeżeli ci odmówi, to jasnym dowodem że nie szanuje małżonki jak powinien.

Wpuściwszy te krople trucizny do serca Tulizy, stara powstała i pospiesznie się oddaliła.

Opuszczona Tuliza czuła się zaniepokojoną i bardzo nieszczęśliwą. Powtarzała sobie ciągle, co miała powiedzieć mężowi, na którego długo czekać trzeba było, bo aż do nocy. Postanowiła bezwarunkowo pójść za podstępną radą nieznajomej i odważyć się na żądanie, które mogło ją zrobić nieszczęśliwą na zawsze. Wieczerza stała przed nią nietknięta, kiedy mąż przyszedł ją odwiedzić o zwykłej godzinie. Szybko zerwała się i tak uporczywie go prosiła aby z nią wieczerzał, iż zasiadł do stołu obok niej; ale udawał tylko że potrawy spożywa, bo dostrzegł jak mu podano węża. Oddaliwszy się też po wieczerzy wydał jeszcze surowszy zakaz aby nikogo do zamku nie wpuszczano.

Tuliza spędziła pewien czas po tym wypadku w zwyczajny sposób i zapominała już prawie że miała jakąś urazę do męża. Lecz pewnego

dnia wyglądając przez okno, zobaczyła na nieszczęście jakąś starą kobietę sprzedającą niby „antymonium." Wdała się nieoględnie w rozmowę z przekupką, a ponieważ w znacznej odległości trudno było rozmawiać, użyła po raz drugi tego samego sposobu. Stara z równą łatwością jak owa przekupka „karui" dostała się na wieżę po prześcieradle, a po wielu grzecznościach i słodkich słówkach też same pytania zadała Tulizie. Z dumą odpowiedziała Tuliza że mąż nie odmówił jej żądanego dowodu szacunku. Lecz stara spytała następnie: czy on nigdy nie podał żonie liścia betelu pogryzionego przez siebie; co w obejściu wschodniem stanowi jeden z największych dowodów grzeczności pełnej wdzięku i wytworności. Tuliza, która dotąd nie była zauważała zaniedbania tej miłej oznaki przychylności, zawołała:

— Nigdy!

I znowu pozwoliła się skłonić do żądania od męża tego dowodu przywiązania, w celu doświadczenia wpływu jaki nań wywierała.

Wieczorem zapytała męża:

— Z jakiej przyczyny nigdyś mi jeszcze nie dał liścia betelu z ust twoich, jak to czynią zwykle inni mężowie szanujący swe żony?

— Nie pytaj o to, rzekł duch, — bądź zadowolona jeżeli ja go od ciebie przyjmuję, a nie żądaj tego coby nas na wieki rozdzielić musiało.

Tulizę nie łatwo było zbyć odpowiedzią nie zupełnie jasną i stanowczą. Usiłowała koniecznie męża przekonać, lecz na próżno; tym razem musiał plan swój odłożyć na później. To ją mocno zaniepokoiło i rozdraźniło; postanowiła też użyć wszelkich sposobów aby pozyskać wpływ nieograniczony na umysł męża.

Prawdopodobnie atoli wrodzona jej łagodność i miękkość charakteru, oraz dobroć jaką jej mąż okazywał, byłyby ją wkrótce pogodziły z jego odmową, gdyby owa obrzydła starucha nie była się ukazała po raz trzeci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

I nadszedł ten dzień dla Kazimierza pożądany a jednak bolesny, w którym został wyzwolony, i w którym miał Warszawę opuścić, aby udać się w podróż za granicę.

Przyjechał Kazimierza ojciec Stefan do Warszawy, a pan Karol na pożegnanie wyprawił sutą ucztę, na którą oprócz Kazimierza i Stefana zaprosił: Piotra, starego garbarza, wszystkich towarzyszów Kazimierza, wreszcie kilku godnych majstrów tokarskich. Wszystkich

oblicza były rozradowane; stary garbarz sypał setkami Krakusów, pan Karol opowiadał Stefanowi o duchu nocnym, co to pracował w jego tokarni, i w ciągu rozmowy rozgadał się z nim o przyszłości Kazimierza. Jako człowiek bywały, co to wiele krajów w swojej młodości widział, dawał dobre rady, dokąd Kazimierz w swojej podróży ma się udać, i przyobiecał mu dać listy do ważniejszych miast i sławnych tokarni, dodając:

— Nie daję mu tych listów, aby go zalecić, bo sam się najlepiej zaleci, ale żeby prędzej się obznajmił w obczyźnie.

Takie i tym podobne toczyły się mowy i pogadanki, aż nareszcie przyszedł czas rozstania się. Nie będziem go tu opisywali. Każdy pojmie, z jak ciężkiem sercem żegnali Kazimierza jego towarzysze, tracąc w nim najlepszego przyjaciela, najszczerszego doradzcę i najgorliwszego nauczyciela. Kazimierz ściskając ich ręce na pożegnanie, tłumiąc łzy w oczach, te tylko wyrzekł słowa:

— Żal mi niezmiernie, że was opuszczać muszę; lecz tem się przynajmniej pocieszam, że wy o mnie nie zapomnicie.

— Nigdy! — zawołali wszyscy.

— Więc pamiętajcie, — dodał Kazimierz, — jakie wasze powołanie! Jesteście Polakami, starajcie się zawsze być godnymi tego imienia! To moją największą pociechą będzie w obczyźnie, jeśli się kiedy dowiem, że wy, moi bracia, nigdy nie zapomnieliście, kim jesteście.

I rozeszli się wszyscy.

Nazajutrz jeszcze odwiedził Kazimierz z ojcem poczciwych Stropskich. Stropscy znali już Stefana z opowiadań Kazimierza i starego garbarza, więc też przyjęto go jak starego znajomego. Bawili tam kilka godzin, a szczególnie podobała się Stefanowi żywa i wesoła Zosia, i uważał, że jest do jego Jadwisi bardzo podobną. Kazimierz wcale temu nie przeczył, i dopiero teraz zaczął pojmować, czemu to do niej tak się jakoś przywiązał. Była to już teraz dziewczynka czternastoletnia; żywy rumieniec zdobił jej lubą, okrągłą twarzyczkę. Ale dziś Zosia jakoś bardzo smutna i zamyślona. Siedząc obok Kazimierza wpatrywała się w jego oczy, i słuchała co on jej prawił o przyszłej swojej podróży.

I westchnęło sobie dziewczę, i rzekło:

— Ach! panie Kazimierzu, to dalekie, obce kraje; pewnie tam o nas zapomnisz, i odwróciła się, bo łzy cisnęły się do jej oczu.

I Kazimierz rozrzewnił się i odpowiedział:

— O, nie zapomnę nigdy o was! Wszak mi tu u was było zawsze najmilej. Zosia zawsze przypominała mi moję siostrzyczkę, a wasz mały Jasio mego brata Tadeuszka. Tu u was jakby moja druga rodzina! Zawsze mi ona będzie stała przed oczyma.

Nareszcie trzeba było się rozstać. Po czułem pożegnaniu, z błogosławieństwem Stropskich, opuszczał właśnie Kazimierz ich dom, gdy w tem stary garbarz, który dotąd cicho przypatrywał się temu co się działo, przystąpił do niego i rzekł:

— Do stu Krakusów, jedź chłopcze i powracaj zdrów! Do stu Krakusów! A ocierając sobie oczy dodał! Tfu! patrzcie, ja stary, a tu jeszcze jakaś woda zbiera się w moich oczach! Tfu czy licho nadało z tym Kazimierzem. Szkaradny chłopak... wstydziłbyś się, mnie starego przyprowadzać do tego, żebym się jak dzieciak rozbeczał, mnie, com już może z trzydzieści lat nie płakał. A niech cię Bóg prowadzi! Do stu Krakusów!

Nazajutrz gdy stary Stefan załatwiał jeszcze jakieś swoje sprawunki i kupna, Kazimierz udał się na pożegnanie do pana Andrzeja i jego syna, i do profesora Ignacego, nakoniec do czcigodnego pana Józefa i innych znajomych i przyjaciół, których miał w Warszawie. Już dobrze było po południu, kiedy nareszcie wyruszyli z Warszawy.

Gdy tak jechali sobie gościńcem bitym i powoli mrok zapadał, ojciec opowiadał Kazimierzowi, o czem w Warszawie nie chciał i nie miał czasu mu wspomnieć, że gospodarstwo jego w ostatnim czasie ucierpiało niemało; bo kilka krów na zarazę padło, kilka wołów także odeszło, klacz najlepsza złamała nogę, i trzeba było za bezcen jej się pozbyć, a natomiast inną kupić; zboże dla wielkości posuchy także nie bardzo dopisało. Ot, kończył Stefan, nie tak idzie, jakbym sobie życzył; lecz nie narzekać nam na to: Bóg to dopuścił. Jednak trochę majątku przydałoby się właśnie teraz więcej, niż przedtem: Jadwisia dorasta, Tadeusz potrzebuje także nauki, a i tobie, mój Kazimierzu, radbym te-

raz pomódz, kiedy tak blizkim jesteś swego celu.

— O mój ojcze! zawołał Kazimierz, popatrz na mnie; czyliż nie mam zdrowych rąk? Czyliż na to dawałeś mię uczyć, abym cię ustawicznie na wydatki narażał, których teraz potrzebuje moje młodsze rodzeństwo? Nigdybym tego nie zniósł, żebym teraz, kiedy sam na siebie mogę zapracować, brał jeszcze od ciebie. I zaraz nawet przekonam cię, drogi ojcze, że umiem nieźle gospodarzyć. To mówiąc wyjął Kazimierz woreczek i pokazał ojcu: a było w nim kilkanaście dukatów i pieniędzy srebrnych, i parę banknotów czyli pieniędzy papierowych.

— Oto, mówił dalej, com sobie uszczędził z tego coś ty mi, ojcze łaskawy, dosyłał, i z pracy swej własnej. Czyż mi teraz jeszcze więcej wymagać od ciebie? Inni i tyle nie mają, a odbywają podróże; ja o moim groszku puszczę się w drogę.

Stefan nie wiele mu na to odpowiedział: ścisnął rękę Kazimierza i rzekł wzruszonym głosem:

— Dobrym jesteś synem Kazimierzu i dobrym bratem. Bóg ci to wynagrodzi.

Wśród takiej rozmowy zbliżali się nasi do celu swej podróży już późnym wieczorem. Już widzi Kazimierz światełka migocące się w miasteczku, już rozpoznaje przy blasku księżyca białą wieżyczkę kościółka. Wisła wspaniała jak zawsze z cichym szmerem toczy swe fale. Gdy się już zbliżają do figury świętego Antoniego, bystre oko Kazimierza spostrzega kilka postaci ludzkich pod figurą poruszających się; natęża wzrok.... i nagle woła:

— Ach to matka! i skacze z wozu, i już leży w objęciach matki.

Prócz matki była tam Jadwisia i Tadeusz, którzy przeczuciem wiedzeni, wyszli byli naprzeciw Kazimierzowi; i wszyscy z największą radością witali go i ściskali.

Po pierwszych czułych i radosnych powitaniach wszyscy powsiadali do wózka, i ruszyli ku miastu i ku domowi.

W kilka dni później rodzice z księdzem proboszczem uradzili, aby Kazimierza dla wytchnięcia i wzajemnej uciechy z miesiąc jeszcze zatrzymać w domu, a potem, jak było postanowiono, wyprawić w podróż.

A nie miała to być podróż dla zabawy i rozrywki, ale dla nabycia nauki i doświadczenia; nie miała służyć ku pożytkowi samego tylko Kazimierza, a miała być podjętą także dla tego, aby Kazimierz nabytem w niej doświadczeniem z powrotem do Ojczyzny mógł całemu służyć krajowi.

Podróż taka nie całkiem była bezpieczną dla tak młodego człowieka jak Kazimierz, który ledwie dwudziesty rok życia ukończył. Nie była ona niebezpieczną dla jego życia, bo przecież nie mieszkamy w krajach dzikich; ale niebezpieczną była z powodu pokus do złego, na jakie w obcych krajach zwykle każdy z naszych młodych ludzi jest wystawiony. Potrzeba już wielkiego hartu duszy, zamiłowania swojej ojczyzny i wszystkiego co ojczyste, a szczególniej mocnego ugruntowania w wierze świętej, żeby nie dać się uwieść złudnym pozorom, jakiemi świat zagraniczny zepsucie swe pokrywać umie, i licznym korzyściom, jakiemi do złego stara się zachęcać. Znali wprawdzie rodzice dobrze Kazimierza, tuszyli sobie, że zasady, jakie oni w jego serce wpajali, i jakie sam w sobie wyrobił, uchronią go od wszelkich zdrożności, i że pozostanie także zawsze wiernym Ojczyzny synem. Ale jakto zawsze bywa, im człowiek kogo więcej kocha, tem więcej o niego się lęka, chociaż mało jest powodu do obawy. Tak też było z rodzicami Kazimierza; przy każdej sposobności dawali mu przestrogi i nauki: matka ze swojej strony, ojciec ze swojej, a Kazimierz brał je sobie głęboko do serca, wiedząc że pochodziły z szczerej rodziców miłości ku niemu, i że tylko dobro i szczęście jego miały na celu.

Tak upływały dnie przeplatane naprzemian to radością, że Kazimierz jeszcze zostawał w domu; to smutkiem, że z każdym dniem zbliżała się chwila, w której miał rodzinę i Ojczyznę na długo opuścić. Matka biedna nie sprzeciwiała się temu, wiedząc, że to wszystko potrzeba było dla jego dobra; w ukryciu tylko, kiedy jej nikt nie widział klękała przed obrazem świętym i ze łzami modliła się o szczęście dla kochanego Kazimierza.

I ojciec Stefan zmienił się trochę. Troski i dotkliwe straty pobieliły jego włos, a blizkie oddalenie się syna, w którym wszelką nadzieję pokładał, uczyniło go jeszcze poważniejszym. Czasem, gdy wracał od pracy z pola ze skwaru słonecznego, oblany potem, mógłbyś dostrzedz, jak siadłszy w kąciku swego pokoiku, rzewnie spoglądał na syna, nic nie mówiąc. Czasem wstał,

postąpił do niego, ścisnął go za głowę, i długo całował; a potem był weselszy, rozmowniejszy, i dodawał wszystkim otuchy.

Ale czas nieubłagany toczy się, nie zważa na smutek ni na radość; niezmiennym a koniecznym posuwa się krokiem. Było to ku końcowi Maja, gdy nadszedł dzień wyjazdu. Kazimierz starym zwyczajem miał puścić się w drogę pieszo, z tłomoczkiem na plecach, z laską w ręku, z Bogiem w sercu, z woreczkiem ziemi ojczystej na piersiach. Z rana poszedł do kościółka, służył księdzu Wojciechowi do mszy świętej, i gorące modły słał do Boga, prosząc Go o łaskę dla siebie.

Ach! ciężki i najcięższy był to dzień dla całego domu! Matka już nie płakała, tylko spoglądając na obraz Matki Bozkiej, zasyłała westchnienia błagalne do tej Pocieszycielki trapionych, i ciche przed nią szeptała modlitwy za pomyślność syna układając jeszcze ostatki odzieży i bielizny w tłomoczek razem z Jadwisią i Tadeuszkiem.

Kazimierz powróciwszy z kościoła i prędko i żwawo przygotował co było potrzeba do podróży, a potem na skinienie ojca wyszedł do ogrodu. Tu stanąwszy w swojej cienistej altanie pod lipami, zawołał w uniesieniu:

— Ach, ojcze! jakże tu dobrze, jak tu miło!

— Dobrze tu i miło, odrzekł ojciec, bo to dom twój, bo to Ojczyzna twoja! Niema jak domu! Rad jestem bardzo, kochany Kazimierzu, żeś tak umiłował swój dom i ziemię ojczystą. Miłość ta każdemu z nas od Boga samego jest dana a co od Boga dane, to jest świętym, bo trzeba święcie zachowywać, i do śmierci pielęgnować.

— Czybyś mógł wątpić ojcze, — rzekł na to Kazimierz, — że kocham Ojczyznę?

— Nigdy nie wątpiłem, i teraz nie wątpię, odrzekł ojciec. Pierwej, kiedyś był młodszym, nie mówiłem ci o tem, lecz teraz kiedyś prawie już wyrósł na mężczyznę, przyznam ci się, że cię bardzo kocham za to, żeś tak dobrym synem, i że dobrem sprawowaniem swojem tyleś nam dotąd sprawiał pociechy. Lecz teraz pójdziesz w świat, w świat zupełnie nowy, obcy i nieznany; ten ma tysiące a tysiące środków, aby najlepszego chłopca zepsuć i zgubić, i dla tego bardzo się lękam o ciebie.

— Mnie już nikt nie przemieni — z pewną dumą odrzekł Kazimierz.

— Spodziewam się po tobie, — rzekł znów ojciec. — Wiesz, czego my po tobie wymagamy, wiesz, czego Ojczyzna ma prawo spodziewać się po tobie. Z naszej opieki prawie już wychodzisz, lecz z opieki Ojczyzny nigdy nie wyjdziesz; nawet po śmierci ta ziemia, jeżeli Bóg dozwoli, będzie przechowywała i twoje kości! Za tę nieustającą opiekę żąda ona od nas.... mało, o bardzo mało! żąda tylko tego, co nam Bóg i tak już był wlał w serca nasze, żąda miłości. Tę miłość każdy powinien okazywać zachowywaniem ojczystych obyczajów, pielęgnowaniem ojczystego języka, trzymaniem się świętej naszej wiary polskiej, katolickiej. Kto tego nie czyni, kto przeciwnie sobie postępuje, jest wrogiem Ojczyzny! Patrz mój synu na tę kresę; jest ona dla mnie chlubą, bo otrzymana w obronie obyczajów, mowy i religii naszych praojców. Patrz na tę lipę; widzisz tę dziurę, w której kula ugrzęzła; była to kula najezdnika, którego powalił jeden z przodków twoich, Bartłomiej. A tam widzisz ten płyt kamienny, tam ziemia nasza, którą on najechał, przyjęła jego kości! Pamiętaj sobie dobrze naszę pogadankę tego wieczora. Jeśliby tobą kiedy świat zachwiał, wspomnij sobie na tę bliznę mojego oblicza, wspomnij na tę lipę starą, prze-dziurawioną kulą najezdnika i ten grób kryjący jego zwłoki, a wspomnienia te zachowają cię od upadku! A teraz chodź, niech cię pobłogosławię!

Kazimierz ukląkł: Ojciec zdjął czapkę, długie siwe włosy spadały mu na barki, promień słońca, przedarłszy się przez gęste liście sędziwych lip, oświecił blade, natchnione jego oblicze. I złożył na krzyż ręce nad synem, i wzniósł oczy ku niebu, i szeptał cichą modlitwę, ścisnął syna za głowę, podniósł go, ucałował w twarz i rzekł:

— Błogosławię cię, mój synu, w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen. A teraz chodźmy, bo słyszę w domu obce głosy, pewnie przyszli znajomi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Południowa Carolina. Dwie Caroliny, chociaż złączone, działały jednakowoż od końca 17-go stulecia odrębnie. Wnet po rozpoczęciu wojny królowej Anny przedsięwziął Moore, gubernator południowej Caroliny wyprawę przeciw Hiszpanom w St. Augustine (Florida), która się jednakowoż nie udała. Wynikiem jej było, że kolonia zaciągnęła długu na $26,000.

Lepiej powiodła się wyprawa przeciw Apalachianom, których główne wsie Moore zniszczył, 800 Indyan pojmał i cały ich kraj pod zwierzchnictwo angielskie stawił.

Hiszpanie byli tak rozjątrzeni, że Moore ich zaczepił w St. Augustine, iż wysłali pięć okrętów, do których się przyłączyło pięć francuzkich, które miały zająć Charleston, podbić całą kolonię i przyłączyć ją do Floridy. Flota przybyła do Charleston i wylądowała na różnych miejscach 800 żołnierzy, lecz lud powstał, jakoby jeden człowiek, pobił nieprzyjaciela, który utracił 300 ludzi, i zabrał nawet jeden okręt francuzki z całą załogą. Zwycięztwo było zupełne.

W kilka lat potem sprzymierzyli się Creeks'y, Yamasses'y, Apalachianie, Cherokees'y, Catawbas'y i Congarees'y w celu wyniszczenia białych. Było ich 6000. Gubernator Craven wyruszył przeciw nim na czele 1200 kolonistów i niewolników. Z początku powodziło się Indyanom, lecz w maju 1715 pobił Craven Yamasses'ów i ich południowych sąsiadów i popędził na południe. Indyanie nie stanęli prędzej, aż się widzieli bezpiecznymi pod armatami twierdzy St. Augustine.

Wojny te kosztowały dość znaczne sumy i kolonia widziała się zmuszoną zaciągnąć dług. Właściciele nie chcieli się wcale przyczynić do zapłacenia takowego, wskutek czego lud rozjątrzony stawił się bezpośrednio pod opiekę króla, który w istocie przysłał gubernatorów (dawniejsi byli mianowani przez właścicieli całej kolonii) jednego dla północnej, drugiego dla południowej Caroliny. W ten sposób zostały kolonie te rozłączone. Zatargi z gubernatorami nie ustawały wprawdzie, lecz nie były bardzo ważnemi, i dla tego nie potrzeba ich tu opisywać.

ROZDZIAŁ XII.

Georgia.

Z pierwotnych 13 kolonij angielskich została Georgia najpóźniej osiedlaną. Pomiędzy rzeką Savannah i hiszpańską twierdzą St. Augustine leżał jeszcze w r. 1729 obszar zajęty tylko przez Indyan. Hiszpanie rościli sobie do niego prawo, tak samo czynili Anglicy. Spór ten stał się dosyć groźnym, Hiszpanie bowiem podburzając Indyan zniewalali ich do napadów na osady w północnej Carolinie.

W owym czasie uważano w Anglii ubóztwo za zbrodnię, a ludzi, którzy zaciągnęli długi a nie

mogli ich zapłacić, trzymano przez długie lata w więzieniu. Niejakiś Oglethorpe przedstawił królowi plan, iżby wszystkich dłużników wysłano do Ameryki i zakładano kolonie na obszarze, o który się toczył spór pomiędzy Hiszpanią i Anglią. Plan ten podobał się królowi Jerzemu II, który nową mającą się zakładać kolonię nazwał Georgią. Parlament wyznaczył na kolonizacyę $180,000.

Oglethorpe opuścił na czele 120 emigrantów Anglię i przybył w styczniu czy też lutym 1733 r. nad rzekę Savannah, gdzie założył miasto, któremu nadano nazwę rzeki, poczem zwołał natychmiast 50 główniejszych naczelników indyańskich, z którymi zawarł przymierze. Imigrantów przybywało do Georgii bardzo wielu, ponieważ tam panowała zupełna wolność religijna, lecz pomimo tego nie powodziło się nowej kolonii przez długie lata.

W przeciągu 8 lat przybyło 2500 osadników, lecz wielu z nich nie było przyzwyczajonych do pracy, a że podług konstytucyi nie było wolno trzymać niewolników, to też mało kto trudnił się rolnictwem. W r. 1734 popłynął Oglethorpe do Anglii, zkąd wrócił w r. 1736 z 300 Szkotami, z których 150 było żołnierzami. Wraz z nim przyjechał Jan Wesley, założyciel sekty metodystów, który chciał z Georgii zrobić kolonię religijną i zarazem nawrócić Indyan do chrześciaństwa, lecz ani jedno ani drugie mu się nie udało.

Szybki wzrost kolonii wzniecił zawiść Hiszpanii. Oglethorpe obawiając się napadu, wybudował 5 czy 6 twierdz i sprowadził z Anglii 600 wyćwiczonego żołnierza. Gdy w r. 1739 wybuchła wojna między Hiszpanią i Anglią, urządził wyprawę przeciw twierdzy St. Augustine. W maju 1740 wyruszył na czele 400 żołnierzy i 1600 Indyan i zdobył mniejsze twierdze San Diego i Moosa, lecz St. Augustine nie poddało się. Oglethorpe widząc, że choroba zabiera wielu z jego ludzi, zniósł oblężenie i powrócił do Savannah.

W r. 1742 urządzili Hiszpanie wyprawę do Georgii. Z 36 okrętami i 3000 żołnierzami i 24 armatami przybyli do portu St. Simon, gdzie też wylądowali. Oglethorpe posłał po posiłki do gubernatora południowej Caroliny; widząc atoli, że takowe nie nadchodzą, zagwoździł armaty w twierdzy St. Simon a zniszczywszy wszystkie zapasy cofnął się do twierdzy Frederica. Hiszpanie zaś spostrzegłszy na morzu kilka okrętów angielskich, myśleli, że cała flota angielska przybywa i dla tego postanowili pobić Oglethorpa jak najprędzej, lecz ten wprowadził ich w zasadzkę, gdzie większą ich część wyniszczył. Miejsce to nazywa się do dziś dnia ,,krwawem bagnem''. Reszta Hiszpanów ubiegła do St. Augustine.

W r. 1743 popłynął Oglethorpe do Anglii, lecz nie wrócił już do Georgii, którą przez 10 lat tak roztropnie i sprawiedliwie zarządzał. Pomimo tego nie pozostawił kolonii w bardzo dobrem położeniu, a to jak już powiedzieliśmy powyżej, dla tego, że nie było w niej rolników. Koloniści widząc, że za pomocą niewolników dobrze się dzieje w sąsiedniej Carolinie, poczęli sprowadzać murzynów z Afryki. Dalsze dzieje Georgii aż do rewolucyi, nie przedstawiają nam nic nowego.

ROZDZIAŁ XII.

Rzut oka w tył (1492—1756.)

Zbadaliśmy dotychczas najgłówniejsze wypadki historyi rzeczypospolitej amerykańskiej od odkrycia Ameryki w r. 1492 aż do początku wojny pomiędzy koloniami angielskiemi i francuzkiemi. Jest to przeciąg czasu obejmujący 260 lat, w którym zostało utworzonych 15 kolonij. Przez połączenie Plymouth'u z Massachusetts i New Haven z Connecticut zmniejszyła się ich liczba na 13, które w r. 1775 rozpoczęły wojnę rewolucyjną. Prowincye: Canada i Nowa Szkocya pozostały wiernemi Anglii i tworzą jeszcze dzisiaj część posiadłości angielskich.

Materyi do utworzenia trzynastu kolonij dostarczały różne kraje europejskie. Ludzie różnego gustu, obyczajów i zwyczajów, religii, żyli tu razem i pozostawili znamię swego charakteru tam, gdzie się nasamprzód osiedlili. Anglia dostarczała najwięcej kolonistów i dzieci jej mają jeszcze dzisiaj przewagę w zarządzie, jako i w przemyśle kraju. Szkocya, Irlandya, Niemcy, Hollandya, Szwecya, Francya, Dania i kraje nadbałtyckie przesłały także część swej ludności. Do Ameryki przybyli i żyli współem anglikanie i dysenterzy, katolicy i kwakerzy i chociaż pomiędzy nimi czasem powstały niesnaski, to jednak cieszyli się wszyscy wolnością. Wspomnienie niebezpieczeństw i trudów, walki z Indyanami, ucisk ze strony rządu, na który przez kilka wieków byli wystawieni — wszystko to wlało w ich serce uczucie braterstwa i wywoływało jedność i miłość. Jako członkowie jednej familii bronili matki większej części kolonii, Anglii, przeciw Francuzom i Indyanom (1756 do 1763), lecz nieludzkość tej matki zmusiła ich w r. 1776 do zerwania węzłów z nią ich łączących.

Pomiędzy kolonistami okazała się wielka różność charakteru odnośnie do miejsca urodzenia,

wpływu klimatu i dążności. Virginczycy i sąsiedzi ich na południu, z powodu łagodnego, do wygody zachęcającego klimatu, nie znali karności moralnej i uważali życie rozpustne za dozwolone. Nie byli więc moralnemi, lecz natomiast byli gościnnymi, towarzyskimi i dobrodusznymi. Nowoanglicy zaś byli religijnymi w swój sposób, fanatykami, moralnymi i podejrzliwymi. Celem ich było zrobić z każdego członka społeczeństwa Chrześcianina, podług ich mustra naturalnie. Żyli bardzo oszczędnie, a ich domy były tak pojedyńczymi, jak ich obyczaje.

Hollandzkie zwyczaje, obyczaje i dążności przeważały w Nowym Yorku, w części Pennsylvanii i New Jersey jeszcze nawet 100 lat po zdobyciu tych kolonii przez Anglików (1664); wtenczas to dopiero nastały zwyczaje i obyczaje angielskie. Hollandczycy uganiali się wprawdzie za bogactwami, lecz w rzeczy samej byli dobrodusznymi i posiadali wszelkie cnoty, jakie obywatele mieć powinni, jeżeli chcą, aby ich kraj kwitnął. Szwedzi i Finlandczycy nad rzeką Delaware nie różnili się wiele od nich, lecz tem bardziej „kwakerzy", którzy się rozmnożyli w zachodniej części kolonii New Jersey i Pennsylvanii. Ci ostatni byli pojedyńczymi, nie szczycili się z swej pobożności i ujednali sobie wkrótce szacunek wszystkich; byli, jak powiedzieliśmy, religijnymi, lecz nie byli fanatykami.

Ci, którzy się pierwsi osiedlili w Maryland, byli podobni do tych, którzy się osiedlili w Nowej Anglii, lecz byli jeszcze większymi fanatykami; z czasem jednak, gdy inne żywioły się do nich przyłączyły, zmienili się, a gdy w roku 1774 zastępcy wszystkich kolonij się zgromadzili na ogólnym kongresie, stali jako bracia przed jednym ołtarzem, na którego stopniach wymowny Duché wznosił modły do Pana nad panami.

Większa część kolonistów zatrudniała się rolnictwem, lecz przy tem nie zaniedbano przemysłu i handlu. Bieda zmuszała ludzi do wyrobu takich przedmiotów, których nie mogli kupić, a praca ręczna była szanowaną zwłaszcza w koloniach nowoangielskich; osadnicy przybywali tu do wolnej ziemi amerykańskiej, gdzie, jak wiedzieli, trony ze swemi zgubnemi wpływami nie były znane, gdzie gnuśna arystokracya ze swemi przywilejami nie mogła się wkorzenić. W pięknych lasach nowego świata, w których nie widziano jeszcze hrabiów, baronów i im podobnych, poczęli życie nowe, pełne siły, i oddychali powietrzem, które w owym czasie było nieznośnem dla rządów starego świata.

Handel kolonii był jeszcze w swojem dzieciństwie; była to czysta tylko wymiana towarów, która przed rewolucyą nie zasługiwała nawet na miano „handel"; Anglia stała się zazdrosną, że koloniści sami fabrykują wiele przedmiotów i dla tego starał się jej rząd ograniczyć ich przywileje ile możności. W r. 1719 oświadczono w parlamencie angielskim, że budowanie fabryk w koloniach przyczyni się do zerwania węzłów łączących ich z Wielką Britanią. Lecz pomimo tego miano już w r. 1732 fabryki materyi wełnianych, papieru, tkania i przedmiotów żelaznych w Massachusetts. Rząd angielski nakładał coraz większe cło na przedmioty wyrabiane w koloniach. Widząc, że i to nie pomoże, rozporządził, że w przeciągu 30 dni mają być zniesione wszystkie fabryki stali i żelaza; właściciel fabryki, który jej nie zamknął, został skazany na $1000 kary. Zakazano sprzedawać kapelusze z jednej kolonii do drugiej; na cukier, kawę i rum nałożono niezmierne cło. Karolinczykom zostało zakazane ścinać sosny i z ich soku wyrabiać smołę lub terpentynę w celach handlowych i t. p.

Te niesprawiedliwe i uciemiężające rozporządzenia stanowiły część owej skargi, którą kolonie amerykańskie wniosły, kiedy przed całym światem ogłosiły, że chcą być „wolnymi i niezależnymi stanami".

Naukę nie zaniedbywano także, a zwłaszcza w Nowej Anglii. Przy początku wojny o niepodległość posiadały kolonie 9 kolegiów. W roku 1636 uchwalono w kolonii Connecticut prawo, na mocy którego każda gmina licząca 50 familii miała mieć dobrą szkołę, gmina licząca 100 familii zaś także szkołę łacińską. Podobne rozporządzenia istniały po całej Nowej Anglii. Prywatne familie zajmowały się wiele czytaniem książek, tak, że już w r. 1686 księgarz pewien w Boston dorobił się ze sprzedaży książek znacznego majątku. Brakowało atoli przed rewolucyą gazet, wielki ów czynnik naszych czasów do podniesienia inteligencyi ludu.

Jest to mały rys polityczny i społeczeński zasad ludu amerykańskiego przed wybuchem wojny między-kolonialnej, którą opiszemy w następującym rozdziale.

Dalszy ciąg nastąpi).